„Głos Narodu“ Ilustrowany.

PIERWSZY ZJAZD PRZEMYSŁOWCÓW POLSKICH W KRAKOWIE

18—21 WRZEŚNIA 1901.



Zygmunt Kędzierski
Prezes Towarzystwa Politechn.
Radca budownictwa.



Edmund Zieleniewski
Dyr. fabryk
Przewodn. Komitetu Krakowsk.



Juliusz Ross
Przewodniczący Komitetu
Lwowskiego.



Dr. Andrzej hr. Potocki.



Sala obrad I. Zjazdu Przemysłowców Polskich w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego.



Inż. Wacław Wolski.



Jan Goetz Okocimski.

Portrety prezydyum i wybitnych uczestników Zjazdu, które z powodu spóźnionej pory nie mogły być umieszczone, podamy w numerze następnym, który wyjdzie 27-go b. m., wraz z szeregiem ilustracyj, odnoszących się do Zjazdu.

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu“ z 21 września 1901 r.

Członkowie stałej Delegacyi IV. Zjazdu techników polskich.



Stanisław Świeżawski
Sekretarz Stałej Delegacyi.



Bolesław Weryha Darowski
Sekretarz lwowskiego Komitetu Zjazdu Przem.



Bol. Wieniawa Długoszowski
Inż. cywil. Członek Izby handl.-przemysł.



Roman Dzieślewski
Prof. Politechniki.



Inż. Karol Edward Epler.



Inż. Kazimierz Gąsiorowski



Edmund Grzebski.



Edward Heppe.



Roman Ingarden
Radca budow.



Prof. Tadeusz Sikorski
Inżynier.



Maryan Kuczyński.

I. Zjazd przemysłowy w Krakowie.

Słowo pierwszy objaśnia dostatecznie o znaczeniu i zadaniach tego zjazdu.

Ciągle u nas mówi się o nędzy kraju i o konieczności popierąnia przemysłu — ale były i są to, niestety przeważnie puste frazesy. Brzmią one tak pięknie w ustach konserwatystów, tak szczytnie w ustach demokratów — ale w praktyce — dawnym trybem — i konserwatysta i trybun demokratyczny idzie po cichu za granicę. Ile pod tym względem nagrzeszyły specyalnie nasze władze, szeroko o tem byłoby pisać — każdy z przemysłowców naszych mógłby szereg bolesnych i smutnych wykazać faktów. Należy też raz nareszcie się powiedzieć i stwierdzić przed społeczeństwem, że absolutnie nieprawda, jakobyśmy musieli w tym stopniu, jak się to dzisiaj dzieje, pokrywać nasze potrzeby zagranicą. Pod wielu względami nasza ilościowo skromna produkcya stoi jakościowo

Komitet Krakowski i Lwowski I. Zjazdu Przemysłowego.



Mieczysław Dąbrowski
Dyr. gazowni,
zastępca przewodniczącego Zjazdu.



Bernard Liban
Dyrektor fabryki.



Józef Gorecki
Zakład artystyczno-ślusarski.
Sekretarz Komitetu.



Karol Rolle
Dyrektor szkoły ceramicznej
Sekretarz Komitetu.



Dr. Artur Benis
Sekretarz Izby handl. i przem.



Inż. Alfred Broniewski.



Anastazy Chmurski.



Zygmunt Kremer
c. k. inspektor przemysłowy.



Dyr. Mieczysław Sędzimir.



Dr. Henryk Szarski.



Władysław Turski
inżynier Wydziału kraj.
Prezes »Sokoła« w Krakowie.



Leopold Baczewski (Lwów).



Br. Alfons Gostkowski
(Lwów).



Andrzej Kornella
(Lwów).



Jan Lewiński.



Dr. Jan Roszkowski.



Juliusz Starkel.



Bronisław Chodkiewicz
Ref. taryf. Wydziału krajowego.



Józef Szajnok.



Dyr. Wenanty Szydłowski.



Inż. Józef Tuleja.



Krzyż na Gewoncie w Zakopanem. (Artykuł na str. 8-ej).
(Specyalne zdjęcie dla naszego pisma. — Reprod. zabroniona).

na równi z zagraniczną, a nieraz wyżej. Niech ogół o tem się dowie, niech wie, że siły krajowe w zupełności mogą odpowiedzić potrzebom kraju. Jakkolwiek konkurencya z wielkim kapitałem i z wielką produkcyą fabryczną w pierwszym rzędzie niemiecką, bardzo jest trudną, jakkolwiek handlowocłowa i taryfowa polityka w Austryi korzystną jest tylko dla Niemców — niemniej nie należy wcale popopadać w pessymizm. Trzeba tylko świadomie i konsekwentnie zabrać się do pracy.

I Niemcy to widzą i lękają się uświadomienia i organizacyi naszej w tej mierze. Zjazd przemysłowców polskich jakoś dziwnie zaciekawił i wielce rozdraźnił fabrykantów niemieckich. Organ ich »Die Arbeit« pisze wprost: niech Galicya się nie waży na żadne próby emancypacyi swej od niemieckiej produkcyi — bo Niemcy, którzy już stracili tyłe rynków zbytu, żadną miarą nie dopuszczą jeszcze do utraty Galicyi...

Ten niepokój niemiecki — to najlepszy dowód potrzeby organizacyi naszych przemysłowców, najlepsza rękojmia powodzenia. A nie brak i innych dowodów, jak bardzo nie w smak idzie Niemcom ta budząca się pośród nas świa-



Krzyż na Gewoncie w Zakopanem. (Artykuł na stronicy 8-ej).
(Specyalne zdjęcie dla naszego pisma. — Reprod. zabroniona).

domość potrzeby pchnięcia na inne tory naszego przemysłu.

Najżywotniejszym postulatem u nas i zasadniczem wymaganiem zarówno gospodarstwa krajowego jak i patryotyzmu jest wzrost, rozwój, ustalenie krajowego przemysłu. Rozumieją to obywatele światli, ale tacy są zawsze i wszędzie drobną mniejszością. Ogół nie zdaje sobie jeszcze sprawy z położenia, lekceważy doniosłość spraw, od których cały, wszechstronny rozwój społeczeństwa zależy. Tak blisko nas, w Czechach, widzimy, że tam każdy magnat jest fabrykantem, — a każdy prawie fabrykant i rolnikiem; że tam tylko hasło »swój k'swemu« postawiło kraj na nogi i tworzy rękojmię jego znaczenia. Widzimy dotychczas błogosławione skutki pracy przemysłowej w Królestwie, pracy, której tam przodowali Lubeccy, Tyzenhauzy, Zamoyscy, Steinkellerowie itd.

Trzeba, żeby Galicya zaczęła wreszcie iść za tymi przykładami, trzeba ogółowi otwierać oczy w tym kierunku. Nikt tego za nas nie uczyni, należy własne wytężać siły, należy sprawę zapoczątkować. Więc przemysłowcy sami podnoszą sztandar tego zwrotu w gospodarstwie. kraju, a jako jeden z objawów tego zwrotu zwołali nareszcie: pierwszy zjazd przemysłowy. Ogromny w nim udział i przebieg obrad to wymowne udokumentowanie znaczenia zjazdu i znaczenia przemysłu.

Edmund Zieleniewski.

Pracownia Jana Szczepanika.

Po niesłychanie trudnych staraniach, po stracie całego roku, został nareszcie słynny wynalazca Jan Szczepanik przeniesiony jako szeregowiec do Wiednia. Przydzielono go do sztabu generalnego i pozwolono mu pracować we własnem atelier.

W gmachu, który dawniej zajmowało wielkie towarzystwo »Wiener Molkerei« przy Pragerstr. l. 6, mieści się na parterze i na I. piętrze wielka fabryka, popędzana maszyną parową o sile 40 koni — zatrudniona wyrobem precyzyjnych modeli do wypróbowania wynalazków, pracownią fotograficzna, warsztaty tkackie i t. d. Fabryka ta jest własnością »Societé des Inventions Jan Szczepanik & Cie. której handlowym dyrektorem jest p. Ludwig Kleinberg. Trzecim spólnikiem Szczepanika jest inżynier architekt Habrich. W pracowni zatrudnieni są prawie sami Polacy.

Szczepanik posiada dotychczas przeszło 300 patentów na wynalazki, na każdy bowiem wynalazek składa się zwykle kilka patentów osobnych. Najważniejsze z tych wynalazków są: metoda fotograficzna sporządzania wzorów tkackich czyli patronów; maszyna elektryczna do dziurkowania kart tkackich; sposób tkania we wszelkich barwach przy użyciu tylko trzech rodzajów nici o barwach zasadniczych, projekcya w barwach naturalnych, ulepszenia telefonowania bez drutu etc. Próby z tym telefonem odbywają się właśnie z udziałem inżynieryi wojskowej.

Na pierwszem piętrze mieszczą się biura Société, która nabywa także obce wynalazki dla wypróbowania ich lub udoskonalenia przez Szczepanika. Do takich należą: nowy samowar, pancerz jedwabny kulotrwały, nowe pługi, maszyna pisarska dla ciemnych, przyrządy oszczędzania opału przy kotłach parowych, które ogromną mają doniosłość (caloridul) i w. i.

W dwóch skrzydłach tego samego gmachu na przyziomiu na I. i II. piętrze mieszczą się warsztaty i biura rysunkowe i handlowej i pierwsze jedynej na całe Austro-Węgry Patroniarni

systemu Szczepanika, założonej przez nasze Towarzystwo akcyjne, które ma siedzibę w Krakowie. Podobne patroniarnie otwarto już w Barmen i w Roubaix. Opis galicyjskiej patroniarni, której dyrektorem jest p. Borzykowski, osobno podamy. Ryciny nasze pokazują: gmach, mieszczący pracownię Szczepanika i pracownie Galicyjskiej Patroniarni; wynalazcę przy aparacie do fotogr. sporządzania patronów tkackich — wynalazcę jako szeregowca na warcie w Przemyślu.

W Przemyślu Szczepanik zaręczył się z uroczą panną Wandą Dzikowską, której portret podajemy w numerze.



Jan Szczepanik na warcie w Przemyślu.
(Zdjęcie migawkowe dla naszego pisma).

GIMNAZYUM POLSKIE W CIESZYNIE.

Kiedy Macierz Szkolna dla Księstwa Cieszyńskiego, spełniając marzenia założyciela swego, ś. p. Pawła Stalmacha, powoływała w r. 1895 do życia gimnazyum polskie w Cieszynie, to, jakkolwiek miała przekonanie głębokie o potrzebie tego zakładu, jednakże pewnie nie spodziewała się, że będzie ono zakładem tak licznym, jakim jest obecnie.

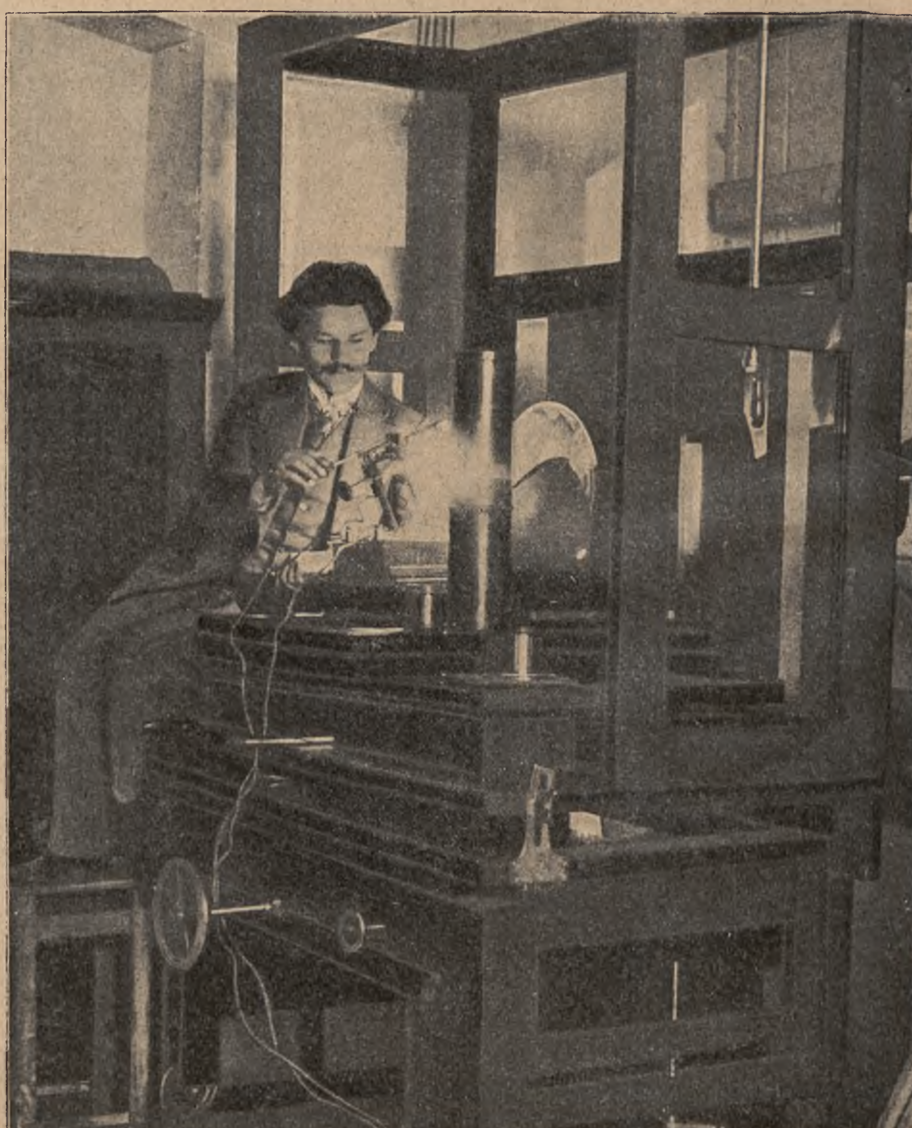
W r. szk. 1900/1 gimnazyum liczyło już 256 uczniów przy końcu roku w klasach sześciu (pierwsza miała dwa oddziały), t. j. więcej niż niektore gimnazya pełne niemieckie. Wobec zarzutów Niemców, że gimnazyum polskie na Śląsku nie ma racyi istnienia, bo je zasila głównie młodzież galicyjska, dobrze jest przypomnieć, że z owych 256 uczniów, 192 urodziło się na Śląsku, a rodzice 200



Dyrektor Ludwik Kleinberg
Spólnik Szczepanika.



Borzykowski
Dyr. Patroniarni Gal. Tow. Akc.



Jan Szczepanik w pracowni.
(Specyalne zdjęcie dla naszego pisma. — Reprodukcya zabroniona)



Jan Szczepanik.



Pna Wanda Dzikowska.



Pracownia Szczepanika i Patroniarnia Galic. Tow. Akc. dla tkactwa Szczepanika w Wiedniu.
(Specyalne zdjęcie dla naszego pisma.

z nich mieszkają w tym kraju. Ale tak wymowne cyfry urzędowe nie zdołają przełamać uporu Niemców, którzy zawzięcie twierdzą, że ludność polska na Śląsku (a właściwie ludność »Śląska«, bo oni polskiej na Śląsku nie uznają) potrzeby polskiego zakładu średniego nie odczuwa wcale.

Nauczycieli gimnazyum polskie liczyło w ubiegłym roku szkolnym trzynastu, w tej liczbie dyrektora i dwóch katechetów: katolickiego i ewangelickiego.

Rok szkolny 1901/02 rozpoczyna się w gimnazyum polskiem w Cieszynie dnia 19. b. m., wakacye bowiem



Piotr Parylak
Pierwszy Dyr. gimn. Cieszyńskiego.



Gmach gimnazyum Polskiego w Cieszynie.



Józef Winkowski
Obecny Dyr. gimn. Cieszyńskiego

trwają tu, jak we wszystkich gimnazyach austryackich poza Galicyą, od połowy lipca do połowy września.

Co do napływu uczniów do szkoły, to można być pewnym, że nie będzie on mniejszy niż w latach poprzednich mimo agitacyi Niemców, którzy przeczuwając upaństwowienie gimazyum, nie przebierają w środkach, aby młodzieży polskiej do szkoły polskiej nie dopuścić.

Do klas sześciu przybywa klasa VII., a grono nauczycielskie będzie liczyło osób czternaście.

Kierownictwo zakładu w miejsce p. Parylaka, który, znużony wiekiem i trzydziestoletnią służbą nauczycielską, przeszedł na emeryturę, obejmuje profesor krakowskiego gimnazyum III. p. Józef Winkowski, znany zaszczytnie z prac pedagogicznych i z działalności nauczycielskiej, którą zjednał sobie szacunek kolegów i miłość uczniów. P. Winkowski jest człowiekiem w pełni sił (ur. r. 1851), umiejącym jednać sobie serca ludzkie, to też można mieć niepłonną nadzieję, że ważnym zakładem kresowym pokieruje z tą wyrozumiałością, taktem i zrozumieniem jego znaczenia, jakie dla sternika instytucyi szkolnej jest zawsze i wszędzie, a tembardziej tutaj, niezbędne. Czytelnik nazwiska nauczycieli gimnazyum cieszyńskiego znajdzie na innem miejscu pisma naszego obok odpowiednich ilustracyi. Są tam tylko ci nauczyciele, którzy pracowali w zakładzie w ostatnim roku szkolnym.

Z tych, którzy w r. 1895 pierwsi stanęli do pracy, prof. J. Ostrowski spoczywa już na cmentarzu cieszyńskim, a prof. Śnieżek uczy w jednem z gimnazyów krakowskich. Na posterunku trwa jedynie katecheta ks. Józef Londzin, sekretarz »Macierzy szkolnej dla Księstwa Cieszyńskiego«, której po ś. p. Stalmachu jest główną podporą. Ks. Londzin należy do tych niewielu, których niezaprzeczoną własnością jest zasługa założenia gimnazyum, a w pracy nad jego utrzymaniem i rozwojem nikt nie ma większych od niego zasług.

Jeszcze słowo o młodzieży szkolnej w gimnazyum cieszyńskiem.

Jak świadczą cyfry, które przytoczyłem wyżej, główny zastęp młodzieży stanowią tu dzieci Śląska. Są to niemal wyłącznie dzieci ludu śląskiego. Nauczyciela przybywającego z Galicyi zwłaszcza z miast większych, uderza to, że te dzieci uczą się i że się chcą uczyć, że ich do nauki nie potrzeba zmuszać. Możnaby to cyframi udowodnić, że przy klasyfikacyach przepada tu daleko więcej przybywającej tu młodzieży galicyjskiej, niż śląskiej. Przyczyny tego można dopatrywać się w tem, że lud tylko te dzieci posyła do szkoły, które są zdolniejsze, mniej zdolnym zaś każe szukać innego zajęcia. Nie jest to jednakże przyczyna jedyna. Najważniejszą przyczyną zdaje się jest dość wysoki poziom oświaty, która na Slązku już dość dawno przedarła się pod strzechy wieśniacze. Są tu zaś także chłopcy, zwłaszcza starsi, którzy, jeśli nie zupełnie rozumieją, to czują to, że na nich zwrócone są oczy całego kraju. Zdarza mi się dość często do druku i nie do druku pisać o gimnazyum cieszyńskiem, a zawsze kończąc, nie mogę nie zrobić jednej uwagi, że pomimo rozwoju pomyślnego, gimnazyum polskie opiera się na podstawach chwiejnych, bo... bo brak mu funduszów, których Macierz Szkolna ma już bardzo niewiele. Usiłowania germanizacyjne, które nietylko na Śląsku, ale i w Galicyi są zatrważające, powinny być dla społeczeństwa naszego silnym bodźcem do samoobrony i wzmagać ofiarność.

Cieszyn 1901 r. J. A. S.

KRZYŻ NAD CHMURAMI.

(Ilustracye na str. 4 i 5.)

Na majestatycznym szczycie Gewontu, piętrzącego się prostopadłą ścianą nad »letnią stolicą Polski«, nad Zakopanem — stanął w tym roku olbrzymi krzyż żelazny — wzniesiony staraniem grona parafian i proboszcza zakopiańskiego.

Nie lada to było przedsięwzięcie wynieść na skaliste blanki Gewontu ciężkie sztaby metalu, stanowiące wiązanie krzyża — i umocować je tam, nad chmurami, na wysokości 1900 metrów, na skraju zawrotnej przepaści. Wielebny Proboszcz zakopiański tak nam opisuje dzieje fundacyi tego najwyższego w Polsce krzyża:

Mówiąc o jubileuszu »miłościwego lata« wspomniałem moim parafianom, że we Włoszech na pamiątkę kończącego się starego i rozpoczynającego nowego stulecia postawiono kilkanaście żelaznych krzyżów na szczytach gór, między tymi nawet na Wezuwiuszu. Biorąc z tego assumpt, prosiło mnie kilkunastu najpoważniejszych górali, abym się zajął postawieniem podobnego krzyża na Gewoncie. Uczyniłem chętnie tej prośbie zadość i ogłosiłem z ambony ten zamiar, wzywając do składek, które też zaraz wpływać dość obficie poczęły. Znany zaszczytnie artystyczno-ślusarski zakład Goreckiego w Krakowie wykonał projekt krzyża, 12 metrów wysokiego. Chcąc się przekonać, czy krzyż taki będzie z Zakopanego widzialny, urządziłem z kilkunastu góralami i z tutejszym komisarzem klimatycznym P. Piątkiewiczem wycieczkę na Gewont w jesieni zeszłego roku celem ustawienia tamże na próbę krzyża drewnianego. Z ostatniego pod Gewontem szałasu zabraliśmy 2 długie żerdzie, które górale z po-

dziwienia godną zręcznością na szczyt wynieśli. Na szczycie zbiliśmy z tych żerdzi krzyż, a dla nadania mu większej szerokości poprzybijali do żerdzi w poprzek w odstępach deski na 1 metr długie. Tak zaimprowizowany krzyż ustawiliśmy w jamie w skale naprędce wybranej, 60 cm. głębokiej i obłożyli kamieniami dla lepszgo umocowania. Krzyż ten próbny miał 10½ metra wysokości. Wróciwszy do Zakopanego spostrzegliśmy z radością, że krzyż gołem okiem daje się widzieć, choć bardzo mały. Po dokonaniu tej próby poleciłem fabryce Goreckiego wykonać krzyż na 17 m. wysoki, z których dwa miały być wpuszczone do skały. Fabryka krzyż wykonała i koleją do Zakopanego przysłała mniej więcej w 400 pojedynczych kawałkach. Mając krzyż na miejscu zapowiedziałem moim parafianom wyprawę na Gewont i zachęciłem do pomocy w wyniesieniu krzyża. Dnia 3 lipca zebrali się też tutejsi górale w liczbie około 250 osób i 18 wozów przy kościele. Po Mszy św. wyruszyliśmy do Kuźnic, rozdzieliwszy żelazo na pojedyncze wozy, które też wywiozły je, dokąd się dało tj.: do tak zwanego »Piekiełka«. Tu nastąpił podział. Wszyscy mieli co dźwigać tem więcej, że prócz żelaza trzeba było wynieść 400 kg. cementu i dwadzieścia kilka konewek płóciennych wody. Około godz. 11-ej znaleźliśmy się wszyscy szczęśliwie na szczycie i ciężar rozłożyli. 10 metrów kubicznych zawierająca jama w skale została poprzednio wykuta, co dwóch górali kosztowało 7 dni pracy. Po wytchnieniu na szczycie wszyscy się rozeszli — został tylko właściciel fabryki p. Gorecki ze swym monterem, ja i 6 górali, aby spód krzyża w skale umocować. Gdy się nam to szczęśliwie mimo deszczu udało i gdyśmy jamę kamieniami zasypali a narożniki krzyża

Profesorowie Gimnazyum Cieszyńskiego.



Prof. Jan Lubaczewski Prof. Tadeusz Pelczarski Prof. Jan Kukucz
Ks. J. Londzin Prof. Antoni Vanek
Prof. Fr. Popiołek B. dyr. Piotr Parylak Prof. Michał Janik Prof. dr. Jan Wytrzens
Prof. Mieczysław Hubert Prof. Maryan Wyrwiński.

Gimnazyum polskie w Cieszynie. — Uczniowie kl. IV. w r. szk. 1900/1 wraz z profesorami.



Prof. Jan Kukucz Prof. Franciszek Popiołek Ks. Józef Londzin B. dyrektor Piotr Parylak Prof. Franciszek Habura Prof. Kazimierz Wróblewski
J. Fober, nauczyciel śpiewu i muzyki. Bogdan Hoff, nauczyciel rysunków

cementem zalali, pozostawiliśmy na górze montera, który z 2-ma góralami resztę krzyża zmontował, co 6 dni pracy kosztowało. Krzyż wystaje nad skałę 15 metrów — ramię poprzeczne na $5^1/_2$ metra. W przecięciu ramion jest tarcza z blachy a w niej wycięty napis, jaki Ojciec św. dla krzyżów jubileuszowych sam ułożył, a który opiewa: »Jesu Christo Deo-restitutae per Ipsum salutis MCM«. Waga krzyża wynosi **1819 kg.** Koszt wykonania, wykucia jamy w skale i zmontowania krzyża wynosi 735 złr. Poświęcenie krzyża odbyło się dnia 19 sierpnia. Po odprawieniu Mszy św: o godz. 7-ej wyruszyli parafianie i liczni goście do Kuźnic, dokąd napływać poczęli z różnych stron nowi uczestnicy wycieczki, których liczba przekroczyła 300. Poświęcenia krzyża z wielką uroczystością dokonał ks. kanonik i kanclerz Bandurski z Krakowa. Po poświęceniu krzyża i odśpiewaniu przez obecnych rzewnej pieśni na znak dany wielką chustą, powiewaną ze szczytu na który można wejść, a obserwowany z Zakopanego przez lunetę, uderzyły wszystkie dzwony w kościele parafialnym, aby tym, którzy w uroczystości udziału nie wzięli, chwilę dokonania poświęcenia obwieścić. Gdyśmy schodząc doszli do tak zwanego »Siodełka«, wygłosił podniosłe kazanie ks. Profesor Łabuda z Przemyśla. Odśpiewaniem pobożnej pieśni zakończyła się ta podniosła uroczystość, która tak wielkie wrażenie zrobiła, że z wielu oczu łzy rozrzewnienia popłynęły. Bogu widocznie miłem było to dzieło, gdy tak przy wyniesieniu krzyża jak i jego poświęceniu ochronił wszystkich uczestników od najmniejszego choćby nieszczęśliwego przypadku. Nadmienić tu jeszcze muszę, że na dole krzyża umieszczoną będzie tymi dniami tablica z napisem: »Zbawicielowi świata na przełomie wieków 1900/1901 parafia Zakopane z swoim proboszczem postawiła krzyż ten wykonany w fabryce Józefa Goreckiego w Krakowie«. Tablica ta na czas nie wykończona, nie mogła być umocowana przy poświęceniu, jak to było w programie.



Jan Bukowski.

Zakopane 3/IX 1901.

Ks. Kazimierz Kaszelewski
proboszcz.

POLSKI STYL.

Jest jakaś dążność w społeczeństwie polskiem do wynalezienia sobie swego własnego sposobu wyrażenia się i do ujęcia w widomą postać, utrwalenia własnej myśli.

Dążność ta przejawia się już od dawna w literaturze świadomie. W sztuce plastycznej była ona też już od dawna, ale kto wie, czy nie bezwiedna. Dziś, czy to, że grozi nam niebezpieczeństwo zatraty własnego typu, czy też wpływy zachodu okazały się dla nas niewłaściwymi, wyłania się coraz silniej i coraz szersze ogarnia koła, dążność ujęta już w teoryę do wytworzenia t. zw. polskiego stylu.

Ten styl narodowy, to nie nasz tylko wynalazek. Dotychczas zrozumiały go i wykonały u siebie dwa tylko narody w Europie, tj. Anglicy i. Rosyanie.

Sztuka angielska ma swój własny typ i styl, jak i rosyjska.

Wszystkie inne narody mają mało wyraźny typ sztuki.

Francuzi przetrawiają japońszczyznę i biorą co mogą od Anglików, Niemcy wierzą tylko w t. zwany »Modernismus«, »Secessyę«, czy jak się tam zwie ów nudny, manieryczny, oklepany styl, tak silnie teraz nurtujący np. we Wiedniu.

Włosi, żyjąc ciągle jeszcze minionem życiem wielkich przeszłości, na nic się zdobyć nie mogą. — A Polacy zawsze eklektycy, jeżdżą po staremu po mądrość do Niemiec i Francyi, gdzie starają się żyć życiem i myśleć myślą niemiecką lub francuską, aby wróciwszy do kraju, wyśmiewać i za nic mieć wszystko, co się w kraju, na krajowych buduje pierwiastkach. Tylko bardzo wybrani powracają z Paryża ze zdobytą korzyścią przekonania, że właściwie nic nowego się nie zobaczyło, — i że pewien mały zapomniany kraik i lud był jedynym, co się prócz Anglii i Rosyi w tej wieży Babel odznaczył, t. j. Finlandya. Finlandczycy przyszli do Paryża z własną sztuką. Odgrzebali śpiące we fińskim ludzie poczucie zdobnicze, ujęli je w poprawną formę i dali rzecz niewidzianą, nową, która ogólną zwróciła uwagę.



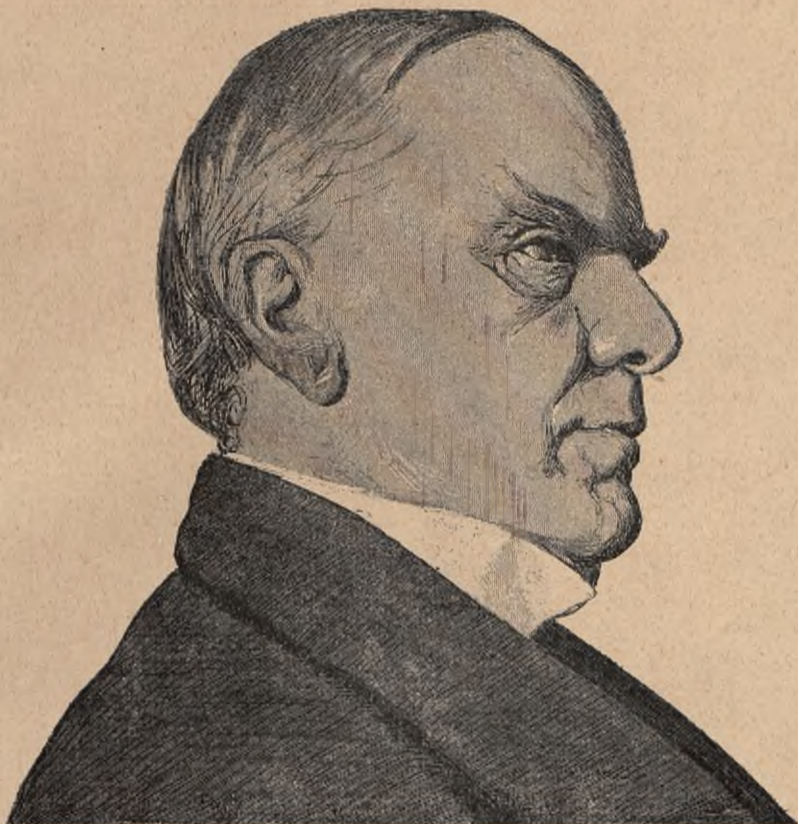
Inkrustacya drzewna
wykonał Jan Bukowski, prof. szkoły przemysłu artyst.

A jakże wyglądali Polacy? — Niestety nie było ich wcale. — Byli Francuzi rodem z Galicyi i Królestwa, byli Monachijczycy tego samego pochodzenia, były jakieś usiłowania żeby być Anglikiem, wszystko to było, tylko oczywiście gorsze od pierwowzorów, jak każde naśladownictwo. Ale Polaków nie było. Bo nawet jedyna może rzecz, co by mogła świadczyć o odrębności narodu nie doszła — nie wiem dlaczego — na miejsce przeznaczenia, tj. model domu St. Witkiewicza.

Niedawno umarł w Anglii człowiek, co wytłómaczył był swego czasu Anglikom, że dobrem jest to, co jest angielskiem i ładnem jest dlatego właśnie, że jest angielskiem a nie innem.

Ale John Ruskin miał daleko łatwiejsze zadanie do spełnienia, niż ktokolwiek u nas, coby to samo głosić zechciał.

Ruskin mówił do Anglików, tj. do ludzi, którzy wie-



MAC KINLEY
zamordowany prezydent Stanów Zjednoczonych.

rzą, że Anglia jest przecież coś warta, — że mgły nad Tamizą są równie piękne, a dla Anglika nawet piękniejsze od paryskiego błota — że kołowrotek angielskiej chłopki może być piękniejszym od podobnego francuskiego sprzętu.

Z Polakami trudniejsza sprawa!

Każdy Polak uważa się za »coś lepszegó« wtedy, jeżeli stara się okazać pewną wzgardę dla wszystkiego, co jest w kraju. Szanujący się artysta stara się wytłomaczyć ludziom, że wszystkie motywy polskie, co się jeszcze u ludu poniewierają gdzieniegdzie, są barbarzyństwem, przejawem dzikości.

Młodzież polska artystyczna tłumami co rok wyjeżdża do Paryża i Monachium.

Tam uczą się mówić piękne rzeczy o tak zwanej »indywidualności«, ale nie uczą się przedewszystkiem swego rzemiosła tj. rysować i malować itd. i wracają z głową pełną różnych pięknych, we wszystkich barwnych obrazkowych pismach setki razy powtarzanych rzeczy — a na polską przyrodę i polskie zdobnictwo patrzą jakby przez francuskie okulary.

Trudno też tu mówić coś o odrębności narodowej. —

Z żyjących artystów, którzy wyrażają w sztuce duszę polską — w pierwszym rzędzie wymienić trzeba: Malczewskiego, Chełmońskiego, Brandta, Witkiewicza... Czy domy St. Witkiewicza są typowym stylem góralskim czy nie — to wszystko jedno — są one płodem polskiej duszy, wyrosłym i wychowanym w cieniu polskich gór i szumie polskiego lasu — tak jak obrazy Chełmońskiego — i one świadczyć mogą śmiało o polskiej twórczości.

W historyi więc stylu polskiego Stanisław Witkiewicz jako twórca, a ś. p. Matlakowski jako zbieracz materyałów, zapisali już swe imiona na pierwszej karcie.

Co będzie na dalszych kartach?

Dziś jeszcze nic nie wiemy — tak jak matka, chodząca w błogosławieństwie, nie wie, jakie wyda na świat dziecię.

Jest jednak już pęd ku nowej drodze, jest poczucie w społeczeństwie, że sztuka polska, jeśli ma być coś warta — musi szukać przymierza w Polsce.

Inteligencya polska jednak nie da sztuce tej strawy, bo jej nie ma.

Przez Polskę przelatywały jak chmury rozmaite rodzaje cywilizacyi, a każda starała się utnąć to, co było rodzimem, a swoje piętno wycisnąć.

Jeszcze historycznie najnieszczęśliwszy okres w. XVII był dla sztuki polskiej prawie że jedynym czasem, gdzie się trochę chociaż zaczynała przejawiać.

Pomimo panującego nawet w Turcyi baroku mamy z tego czasu przynajmniej tę trochę pasów litych, w Polsce wyrabianych, które, choć w zasadzie zbliżone do wschodniego typu zdobnictwa, wykazują zupełnie odrębne pojęcie zdobnicze.

Że strój — przed wiedeńską odsieczą, po której tureczczyzna wtargnęła i zalała Polskę — był odrębny i w typie narodowym — o tem świądczyć może choćby i to, że



Kazimierz Kamiński w roli Stańczyka

(»Wesele« Stanisława Wyspiańskiego, akt drugi).

(Spec. zdjęcie dla „Ilustr. Polsk." — Atelier Kryjak w Krakowie).



Helena Modrzejewska w roli Julii.

(Fot. Gilbert w Bostonie).

dziś jeszcze wiejscy krawcy zdobią nowe zupełnie, czerwone kabaty tak, ale to zupełnie tak, jak zdobiono w wieku XVII niektóre części stroju.

Ale też to prawie wszystko!

A tymczasem we wsiach polskich, po ciemnych chałupach, mieszkają jeszcze ludzie, co z piastowskich jeszcze czasów, nie biorąc udziału w dziejach, wnieśli oni w XX stulecie odrębne, własne polskie poczucia zdobnicze.

Jeszcze, kto ciekawy, mógłby zobaczyć przepiękne polichromie ścian wewnętrznych izb, ślicznie »fryzowane« okna i ściany, błyszczące jak lity pas wyszycia gorsetów, dziwnie szlachetne w tonie wełniaki i pasy mazowieckie i hafty bardzo pięknie, technicznie wykonywane, i sprzęty o kształtach bogatych i całe szeregi, niezliczone typy bogato, barwnie, z dziwną fantazyą zdobionych malowanych skrzyń.

Ale to wszystko jest barbarzyńskie! To chłopskie, ordynarne kwiatki! ani różowe, ani mdłe, ani nie »secessya!«

Pewnie, że nie! Bo to wszystko drga życiem, barwą i tężyzną, tchnie szczerością i siłą i zdrowiem, lśni bogactwem »barbarzyńskiej« fantazyi.

Ale i na to jest rada! Sprowadza się programy niemieckich szkół fachowych, tłómaczy się ludziom, że tylko wiedeński renesans, różne »altdeutsch«, »modernizm« i jak się tam zowią te wszystkie wiedze, są stylami cywilizowanymi i ucina się »lege artis« korzenie kiełkującej rośliny.



Kazimierz Kamiński w roli Stańczyka
w »Weselu« Wyspiańskiego.

A artyści? Oni z uśmiechem politowania patrzą na te przejawy dziecinne barbarzyńskiego ducha niekulturalnych chłopów, i dalej ciągną olbrzymie i małe, czarne i barwne »stylowe« linie, pisząc polskie książki francuskim językiem.

Jednak w społeczeństwie polskiem zjawił się niedawno jakiś nerwowy, jak wszystko u nas — pęd, jakiś rozmach, żeby lecieć nową drogą »w Polskę«.

Zbawienny to w każdym razie prąd.

Zbiegli się ludzie jednej myśli i odszukali niektórych cichych pracowników, co skrzętnie, cegiełka po cegiełce, zbierali materyał, do budowy przyszłego domu w polskim stylu. Nie mogę tu nie wspomnieć o bogatych zbiorach p. S. Udzieli, pracy szeregu lat.

Zebrali się ci ludzie i zaczęli myśleć, jakby tu zrobić coś, coby było polskiem i polską miało twarz.

Więc opanowała wszystkich chęć zbierania, co jeszcze po wsiach się chowa, i szukania resztek typu polskiego, czegoś, coby świadczyło o naszej odrębności, coby nie było ani niemieckiem ani francuskiem, ani japońskiem, chińskiem, angielskiem — ale słowiańskiem, polskiem.

Co z tego się urodzi? — Jak wyglądać będzie nowonarodzone dziecię: polski styl? Tego nikt jeszcze przewidzieć nie może, ale jest już rękojmia, że będzie coś nowego, że jakiś jeszcze niewidziany styl ujrzy świat boży.

Bodajby jak najprędzej! bo dziś jeszcze nie mamy prawa mówić o własnej twarzy, bo jej nie mamy jeszcze.

W Bronowicach
31 sierpnia 1901 r.

Włodzimierz Tetmayer.

Kazimierz Kamiński

(ilustracya na str. 12 i 14).

Genialny artysta, którego nazwisko na afiszu samo już przyciągało publiczność krakowską do teatru, opuszcza scenę naszą dla lwowskiej.

Zamieszczamy w niniejszym numerze portrety Kamińskiego w roli stańczyka z »Wesela« Stan. Wyspiańskiego.

Artysta wzoruje się, zgodnie z intencyą poety, na słynnym obrazie Matejki, przedstawiającym mądrego błazna, co siedział u stóp Zygmunta — zamyślonego głęboko i boleśnie.

»Polska, swoi, własne łzy,
własne trwogi, zbrodnie, sny,
własne brudy, podłość, kłam;
znam, zanadto dobrze znam« —

Te słowa wkłada Wyspiański w usta Stańczyka. Pan Kamiński świetnie odtworzył tę postać, pełną wyrazu.

Na drugiej rycinie widzimy stańczyka w chwili, gdy do dziennikarza przemawia w te słowa:

»Fata pędzą, pędzą Fata —
Wielkość — Nicość — pusty dzwon.
serce strute, —
uderzyłeś błazna ton:
moją nutę.
Kłam sercu, nikt nie zrozumie,
hasaj w tłumie!
Masz tu kaduceus, chwyć!
Rządź!
Mąć nim wodę, mąć!
Na Wesele! Na Wesele!
Idź!
Mąć tę narodową kadź,
serce truj, głowę trać!
Na Wesele! Na Wesele!
Staj na czele!!«

W postawie i wyrazie oblicza artysty maluje się wyraziście gniew, ból i sarkazm. Scena dziennikarza ze stańczykiem, dzięki wybornej grze i charakterystyce p. Kamińskiego, należy do najwybitniejszych skupiających najwięcej uwagę widza scen w tej tragikomedyi polskiej, jaką jest »Wesele« Wyspiańskiego.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT.

Z PAMIĘTNIKA PANNY HALI — JEJ „PA“ I „MA“

Warszawa, 20 marca.

Jedziemy do Włoch!

Naprawdę, jak kocham »Pa« i »Ma«, jedziemy do Włoch. —

Tak się tem cieszę, że wprost szaleję z radości...

Muszę iść powiedzieć o tem Naci i napisać p. Henrykowi, żeby przyszedł.

Boże, jaka ja jestem szczęśliwa!

A jeszcze przed godziną myślałam, że się otruję, naprawdę, tak myślałam... Esencya octowa jest w kredensie, a w *Kuryerku* często piszą o takich otruciach na śmierć... Ciekawam, jakbym wyglądała po śmierci, w trumnie?... Ubraliby mnie w białą suknię, w welon, mnie bardzo dobrze w białym kolorze z welonem... przymierzałam suknię ślubną Józi... i w kwiatach, całe masy kwiatów... i p. Henryk w żałobie, zapłakany... »Ma« płacze i »Pa« płacze — i Zdziś i Ciotka Cesia i Stokrotki... i księża... i znajomi... i spiewy!...

...nie, niechcę, bo już mi się na płacz zbiera. —

Ale jedziemy do Włoch.

»Pa« długo niechciał, wykręcał się i tłumaczył to brakiem pieniędzy, to znowu, że nie można zostawiać na Boskiej Opatrzności domu, Zdzisia, Stokrotek i Cioci Cesi... Ale jak się »Ma« zamknęła z nim w sypialnym —

Co to było! Co to było! Sądny dzień! Piekło, rozpacz... śmierć! Straszną godzinę przeżyłam! To dziwne, że nieosiwiałam, bo podobno w takich chwilach ludzie siwieją? —

Siedziałam w jadalnym, a tak się wszystko we mnie trzęsło — jak wtedy, gdy mi się miał oświadczyć p. Henryk... Ach! jaki on był wtedy śliczny! jak cudownie mówił: Henio Halę kocha, kocha na śmierć, kocha na całą wieczność! Tak to lubię, że musi mi to powtarzać codziennie... Z pewnością, ale żadnej pannie nikt się jeszcze tak cudnie nie oświadczał!

Siedziałam cichutko, Stokrotki włazły mi na kolana i tak czekaliśmy we troje w strasznej niepewności, aż tu słyszę głos »Ma«:

— Chcesz mojej śmierci, tyranie, skąpcu, niegodziwcze... Morderco żony i dzieci! — Jezus Marya, myślalam, że mi serce wyskoczy! Dobrze, że przyszła Ciocia z Zdzisiem, bo naprawdę byłabym sobie zrobiła co złego. —

A potem tak płakałam! tak płakalam, że i ciocia miała łzy w oczach i Zdziś beczał i Stokrotki tak żałośnie skomlały, aż Rozalia przyszła z kuchni i zawołała do sypialnego:

— Panienka umiera!

»Ma« przybiegła — a »Pa« popatrzył na mnie i uciekł, trzasnąwszy drzwiami — przyszedł dopiero na kolacyę.

Przyszedł p. Henryk i siedzieliśmy w saloniku; było trochę ciemno, to jest niezupełnie, bo drzwi do jadalnego były uchylone... Boże, jaki on gwałtowny!... tak się bałam, żeby »Ma« nie weszła — tak się bałam... Jeszcze mnie usta palą... a on tak mocno... tak słodko... Ma śliczne ręce, jest na piątym kursie medycyny, bardzo mu dobrze w takim płaszczu do ziemi i strasznie go ko... co miałam mówić?...

Aha, siedzimy, a »Pa« z przedpokoju już woła:

— Psiakość, nóżki baranie! Człowiekiem jestem, obywatelem jestem, ojcem jestem — jedziemy do do Włoch! Ja, Jan Gwalbert Adamski z żoną Hortensyą i córką Halą jedziemy do Włoch. —

— I ze Stokrotkami — prosiłam »Pa« — coby one bez nas robiły.

— Dobrze córko i ze Stokrotkami, psiakość nóżki baranie!

Chłopiec od kupca przyniósł za »Pa« wino i bakalję. Wypiliśmy na szczęśliwą podróż, zjedli kolacyę i »Pa« zabrał p. Henryka — i poszli na piwo.

Myśmy się z »Ma« i z ciocią spłakały z radości, aż Stokrotki szczekały, bo i one jadą z nami... prawie cały dom. —

— — — — — — — — — — — —

Zaleciałam do Naci, jeszcze siedzieli przy herbacie. Nie rozebrałam się z żakietu, tylko im wołam z progu: Nic nie wiecie?...

— Co takiego? — Zerwali się wszyscy.

— Nic nie widzicie we mnie? Niczego się nie domyślacie?

Milczeli.

— Jadę do Włoch!

Zawołałam głośno i chciałam uciec, ale brat Naci dopędził mnie przy drzwiach i sprowadził do jadalnego.

Krótko tam siedziałam, może pięć minut, a najdłużej z półtorej godziny. Już nigdy nie pójdę do nich. Szkaradni ludzie, wystygli, zimni. Ja im raz jeszcze mówię, że do Włoch jadę — a oni się nie dziwią! a matka Naci powiedziała, że to nic nadzwyczajnego, że każdy może tam jechać, byle miał pieniądz... Jaszczurka! Rozumiem ją, zazdrości nam! Także figrua! Urzędniczyny! Boże zmiłuj się. Mieszkają w trzech pokojach, Bóg tam wie, jak za nie płacą i mówią, że jazda do Włoch, to nic nadzwyczajnego! —

Rzym, Wezuwiusz, Papież, Florencya, morze, góry, Wenecya — to nic nadzwyczajnego! —

Barbarzyńcy!

Później, w nocy.

Nie mogę zasnąć... twardo... dam ja jutro Rozalii, że mi tak posłała! Tak mi czegoś smutno... tak smutno... Zjadłam resztę czekoladek, które przyniósł p. Henryk i zakręciłam papiloty, bo zapomniałam ze wzruszenia... Tak marzę o Włoszech, o tej boskiej Italii, o kwitnących pomarańczach... o... zaraz, trzeba się dobrze namyśleć, co wziąć na drogę... i jak najmniej, bo »Pa« już zapowiadał:

— Żadnych fatałaszków, brać rzeczy najpotrzebniejsze.

»Pa« suknie nazywa fatałaszkami! Ach ci męż-

czyźni, niby tacy mądrzy, a najprostszych rzeczy nie mogą zrozumieć.

Niedobrze mi jakoś... Może to czekoladki?... ale nie, to ze wzruszenia... Na siebie wezmę ten szary angielski kostyum... trzeba zabrać: wizytową tę jedwabną, potem trzeba wziąć strojniejszą, fularową, może się zdarzyć jaka herbatka tańcująca; potem kostyum wiosenny... prawda, przecież tam już wiosna i kwitną pomarańcze... Podobno Włosi są bardzo przystojni i bardzo zuchwali... ciekawam! Trzeba wziąć i białą, nad morze. P. Henryk mówił, że mi w niej ślicznie...

Tak mi się oczy kleją...

— — — — — — — — — — —

Później.

Już zasypiałam, ale »Pa« przyszedł z piwa taki wesoły, że pocałował mnie, wywrócił fotel i chciał wejść w lustrzaną bieliźniarkę — »Ma« tak się rozgniewała, tak krzyczała, aż Stokrotki uciekły do kuchni i zaczęły strasznie szczekać. A ta niegodziwa, bez serca Rozalia, oblała je zimną wodą! »Ma« ją wybiła, bo pieski mogły dostać zapalenia płuc, a »Pa« obiecał jej dodatkową frycówkę na jutro, jak się wyspi. Za karę musiała iść aż na Nowy Świat do apteki, po wodę sodową dla »Pa« i po lniane siemię na okłady dla Stokrotek!... Dobrze jej tak, bardzo dobrze!

Nie, ja mu to powiem przed ślubem, ja niechcę, żeby p. Henryk chodził na piwo i powracał tak późno... nad ranem... bo ja się tak boję spać sama...

Do widzenia, boska Italio, do widzenia!

— — — — — —



WŁADYSŁAW ST. REYMONT.
(Rysunek Leona Wyczółkowskiego).

22 marca.

Za cztery dni jedziemy!

Ach, co mamy bieganiny, co pracy z przygotowaniami!

W domu pralnia jeneralna... w saloniku dwie szwaczki szyją i reparują, pomaga im ciocia Cesia, bo »Ma« niema czasu, odprawia rekolekcye na intencye szczęśliwej podróży u Bernardynów.

Zdziś wybił szybę u lokatora z pierwszego piętra i powiesił na schodach kota tych tam żydów z oficyny! —

»Pa« chciał go wybić, ale ciocia go obroniła i tak mu za to tyranizowanie dziecka nagadała — że zaraz wyszedł.

Ciocia ma racyę; żeby bić chłopca za stłuczenie głupiej szyby, i za powieszenie żydowskiego kota — to trzeba być tyranem — Oho! już ja się nie dam tyranizować p. Henrykowi!

Jeszcze czego!

Wczoraj kupiłam dwie bluzki i kapelusz letni... nic już więcej nie kupię, bo w Wiedniu podobno wszystko tańsze i ładniejsze. O, ja jestem bardzo oszczędna.

P. Henryk chciał, żebyśmy poszli dzisiaj na odczyt prywatny — ale to takie nudne... bo już wiem z góry, że będą mówili o tych biedakach, robotnikach...

— Trzeba coś dla nich robić! — mówi zawsze p. Henryk.

A my przecież bardzo dużo robimy dla nich: »Pa« kupił tabliczkę towarzystwa przeciwżebraczego — jest przybitą na drzwiach, a ja, »Ma« i z Ciocią kwestowałyśmy na Wielkanoc u Bernardynów! Tam mi moją nowiusienką, śliczną suknię tak pokapali woskiem, że już na nic —

Cały wieczór studjowałam z p. Henrykiem Włochy...

O ja znam dobrze Italię... Czytałam kiedyś, jeszcze na pensyi, powieść Ouidy, działa się we Florencyi i Rzymie...

Jakiś młodszy syn lorda kochał się w nauczycielce sióstr! Boże! jaka to bolesna historya! Ona była chora na suchoty, a jemu nie pozwalał się żenić ojciec! Okropnie się spłakałam.

Wszyscy ojcowie są tyranami! Wszyscy.

A gdyby »Pa« nie pozwolił mi iść za pana Henryka?... Jezus, jakabym była nieszczęśliwa... Ale nie, bo dałaby mi to pozwolenie »Ma« i Ciocia! Oho nic się nie boję. —

Zaraz. Włochy to półwysep oblewany przez dwa morza: Adryatyckie i... i... jakieś tam — mniejsza o jakieś głupie morze. Stolica Rzym: ma mieszkańców... Co mnie to obchodzi, a Neapol jest położony nad zatoką tegoż nazwiska, najpiękniejszą w świecie. — W Neapolu jest Wezuwiusz i śpiewają: »*O mia Napoli, o santa citta!*« Aha, muszę sobie tam kupić sznur korali, bo to teraz modne, no i tam są bardzo tanie.

»Ma« powiada, że musimy być w Rzymie i widzieć papieża. — Naturalnie, jakto, być w Rzymie i nie widzieć papieża!...

P. Henryk twierdzi, że to będzie trudno bardzo, bo on zna takich, którzy byli w Rzymie i nie widzieli papieża — ale »Pa« powiedział stanowczo, że to się da zrobić.

(C. d. n.)

Nakładem Redakcyi »Głosu Narodu«. Z Drukarni Narodowej w Krakowie.